


Trzy miesiące tuż pod dachem świata

Do dzisiaj nie bardzo wiem, jak to się stało, że naukowcy o międzynarodowej sławie zaprosili do wzięcia udziału w projekcie archeologicznym zupełnie nieznaną sobie osobę (tj. znaną, ale tylko przez Internet), w dodatku nie mającą nic wspólnego z archeologią - studentkę religioznawstwa, czyli mnie. I tak pojechałam na trzy miesiące na wykopaliska do Boliwii.

W stolicy Boliwii - La Paz poczułam się tak, jakbym urodziła się i całe życie spędziła na wysokości co najmniej 3  tysięcy m.n.p.m. Centrum La Paz leży na wysokości 3600 metrów, czego nie odczuwałam w ogóle. Pierwsze dni spędziłam biegając w te i we wte po mieście. W zasadzie miasto jak każde inne, ale położone w cudnej scenerii, w dolinie, przy czym centrum i bogatsze dzielnice położone są w dole, a biedota mieszka w górze, aż do wysokości 4000 m.n.p.m. I właśnie dzielnice biedoty są najpiękniejsze, ze względu na widoki zapierające dech w piersiach, a także z uwagi na mieszkańców, Indian Ajmara.

W ogóle jeśli chodzi o mieszkańców Boliwii, to niestety mamy tam do czynienia z apartheidem. Na górze są mniej więcej biali (Kreole - każdy z jakąś domieszką krwi indiańskiej oraz imigranci z Niemiec, przybyli tam po II wojnie światowej), niżej są Metysi, najniżej Indianie. Raz poszliśmy z taką snobistyczną rodzinką (białą) do restauracji, gdzie przy stolikach siedzieli Kreole, kelnerami byli Metysi, a w kuchni siedziała Indianka. To dobrze obrazuje stosunki panujące w Boliwii.

Indianie to ogromna niewykształcona masa z wielkim problemem analfabetyzmu. Indian wykorzystuje się tu na każdym kroku, konstytucja i demokracja istnieją w stolicy na pokaz dla cudzoziemców, a już w Copacabanie (miasteczko, które było naszą bazą wypadową, położone nad jeziorem Titicaca) prawo stanowią ci, którzy mają władzę. Trzeba poprowadzić szosę, a tu cmentarz stoi na przeszkodzie - co za problem, kto by się przejmował paroma indiańskimi grobami. Trupy zawsze można wyrzucić na śmietnik, bo przecież szosa ważniejsza. No i zmniejszono cmentarz o połowę.

Obecnie przez Boliwię przetacza się fala protestów. Głównie chodzi o uprawę koki. Rząd wpadł na wspaniały pomysł, żeby zdelegalizować uprawę tej rośliny. Jest to absurdem, bo po pierwsze koka jest integralną częścią religii Indian Ajmara i Keczua, po drugie, liść koki to nie narkotyk, sama żułam i wiem, że to żadnych halucynacji nie wywołuje, tylko poprawia trawienie i krążenie krwi. Czyli ułatwia funkcjonowanie w warunkach wysokogórskich; na wysokości 4000 m.n.p.m. tlenu w powietrzu jest dwa razy mniej niż na wysokości mojego kochanego Krakowa, szybsze krążenie krwi to i szybszy przepływ tlenu.

Logiczne argumenty zawiodły, więc Indianie sięgnęli po argument siłowy: rozpoczęli blokady dróg. Słyszając "blokady dróg" pewnie sobie wyobrażacie pana Leppera i dwie czy trzy zablokowane szosy? Zupełnie inaczej to wygląda w Boliwii. Blokuje się WSZYSTKIE drogi. Komunikacja zostaje całkowicie sparaliżowana. I to może trwać tydzień lub trzy miesiące, zależnie od tego, komu blokady prędkiej się znudzą: rządowi czy protestującym. W tym wypadku znudziły się rządowi, po miesiącu zaproszono szefa protestujących, Mallku (Ajmarski lider polityczny, pisane z dużej litery przysługuje tylko F. Quispe) Felipe Quispe do La Paz dając mu wszelkie gwarancje, że nic mu się nie stanie. Był na przedmieściach La Paz, kiedy go aresztowano. Na szczęście Amnesty International zaczęło rwetes, więc następnego dnia go wypuszczono. Ale nie ma co, rząd zaprezentował świetny sposób na rozpoczęcie dialogu.

Po długich rozmowach ustalono rozejm na 10 dni, w ciągu których specjalna komisja miała ustalić,

czy żądania Mallku są możliwe do spełnienia, czy nie. W ciągu tych dziesięciu dni zaszły radykalne zmiany w rządzie, prezydent Banzer ustąpił ze stanowiska (umiera na raka), na jego miejsce wskoczył dotychczasowy wiceprezydent Jorge Quiroga, człowiek młody i w zasadzie nieznany, nie bardzo wiadomo, jaka będzie jego polityka, więc Indianie się przyczaili i siedzą cicho, mimo, że dawno już minęło owe 10 dni zawieszenia broni.

Ale coś ciekawego dzieje się w Południowej Ameryce. Pod koniec lipca w Peru objął rządy nowy prezydent. Zaraz na początku Toledo (tak się zwie) spotkał się z innymi prezydentami Ameryki Południowej, w tym z wiceprezydentem Boliwii Quiroga. Porozmawiali o pogodzie i się rozstali. A 31 lipca - bomba. Toledo oficjalnie zaprosił do siebie... Mallku. Coś dziwnego się dzieje w tej części świata, gdzie dotąd apartheid był nie gorszy niż w Afryce Południowej. W kraju, gdzie istnieją hotele, do których Indianom wstęp jest wzbroniony (sic!), najpierw weszła do parlamentu jedna Indianka (widziałam ją w telewizji, przychodzi na obrady w tradycyjnym stroju!), potem prezydent ościennego kraju zaprosił do siebie indiańskiego lidera... no, no, no...

Nawiasem mówiąc, Toledo z Quispe dogadali się chyba świetnie, obaj mówią i robią dokładnie to, co myślą. Raz Mallku zapytany, co sądzi o chorobie prezydenta Banzera, odpowiedział: "A niech umiera jak najprędzej, diabły już czekają na jego duszę", natomiast peruwiański prezydent elekt, zapytany, co sądzi o poprzednim prezydencie (dla nieświadomych: prezydent Fujimori nachapał ile się dało i zwiął do Japonii), oznajmił z niewinną prostotą: "Fujimori to gówno".

* * *

Ważną rzeczą w życiu Indian jest rytuał. Najprostszym jest rytuał powitania: uścisk ręki, objęcie się, ponowny uścisk ręki. Rytuałem jest też cotygodniowe spotkanie danej wspólnoty, gdzie debatuje się o różnych sprawach, popija piwo (alkohol też ma znaczenie rytualne, niestety jest nadużywany, co przy słabych głowach Indian miewa przykre skutki), wypala po jednym papierosie (trzeba, mnie też to nie omijało...) i spożywa się liście koki. Skomplikowanym obrzędem jest mesa, czyli ofiara dla Matki Ziemi (Mama Pacha, główna bogini z andyjskiego panteonu), krwawa lub bezkrwawa. Ta, w której uczestniczyłam, była w sumie bezkrwawa, chociaż jednym z darów dla Mama Pacha był martwy płód lamy. Poszczególne elementy mesy układa się tak, że tworzą koło (odwzorowanie Wszechświata), a potem pali na stosie.

Co roku 21 czerwca obchodzi się ajmarski Nowy Rok, znowu z modlitwami do Matki Ziemi, libacjami (w sensie ofiary dla bóstwa, nie popijawy, chociaż pod wieczór to i w tym sensie...) i błogosławieństwami (błogosławiącymi są oczywiście czarownicy, nie księża). Nowy Rok nie jest przesadnie starożytnym świętem, oczywiście nawiązuje do inkaskiego święta Inti Raymi, ale tak naprawdę to jest obchodzone od dwudziestu lat, kiedy to zaczęła się budzić ajmarska duma ze swojej kultury.

* * *

Kiedy przyjechaliśmy nad jezioro Titicaca, pierwsze moje wrażenie było: "To wygląda jak nasze Beskidy!". Dwie poważne różnice to wiecznie ośnieżone szczyty na horyzoncie (masyw Illampu, Huayna Potosi i Illimani) oraz tarasy, tarasy jak okiem sięgnąć, tarasy od poziomu jeziora (3810 m.n.p.m.) po szczyty gór (do 4500 m).

Tak więc, moi kochani, jeśli ktoś z Was będzie się widzieć z autorem szkolnych podręczników geografii, to może mu przywalić jego własnym dziełem. Całe lata mnie uczono, że istnieją pasy roślinności: lasy liściaste, wyżej iglaste, potem kosodrzewina i hale, a na wysokości 4000 m.n.p.m. jest już tak niesprzyjający klimat, że mogą tam rosnąć najwyżej jakieś marne mchy i porosty. Bzdura! Tutaj nad jeziorem Titicaca rośnie wszystko, ziemniaki, kukurydza, pszenica, a zbocza gór porośnięte

są lasami. Liściastymi.

No dobrze, nie cała wyżyna tak wygląda, tylko okolice jeziora Titicaca, gdzie jest sprzyjający klimat. Tłumaczono mi, nie za dobrze zrozumiałam, ale chodzi o to, że w dzień jezioro paruje, a w nocy ta wyparowana wilgoć osiada na polach, dzięki temu w czasie pory suchej nie jest wcale tak znowu sucho. Dzięki temu mikroklimatowi nad jeziorem Titicaca rośnie najwyższej na świecie kukurydza: do poziomu 4200 m.n.p.m.!

Jadąc do Boliwii miałam przed oczyma obrazek Indianina otoczonego lamami i alpakami. No i co zastałam? Niestety, lamy, alpaki, świnki morskie, rodzime ryby i rodzime rośliny zostały wyparte przez przywiezione przez Europejczyków owce, krowy, osły, pstrąga i eukaliptus. Lamy i alpaki spotyka się czasami, ale z rzadka, zaś rodzime rybki zostały zeżarte przez pstrąga (są jeszcze, ale z roku na rok jest ich coraz mniej), również eukaliptus beztróska niszczy tamtejszy ekosystem (wokół eukaliptusa nic nie wyrośnie, ziemia zamienia się w pustynię). Rodzime gatunki drzew, jak kantuta i kisuara są drzewami rosnącymi bardzo powoli, o wiele wolniej od eukaliptusa. A takie sympatyczne zwierzątko jak owieczka ma to do siebie, że zjada wszystko, co zielone na drodze. I właśnie jak się zdaje owieczki przyczyniły się do zanikania kisuary, zjadając malutkie drzewka.

Dawniej podstawą wyżywienia andyjskich Indian była kukurydza, ziemniaki, kamote (polska nazwa "słodki ziemniak" jest o tyle myląca, że wprawdzie słodkie to owszem jest, ale z ziemniakami ma niewiele wspólnego), oka (rodzaj bulwy) i quinoa. Quinoa została wyparta przez przybyszów ze Starego Świata, pszenicę (chlebki z mąki quinoa należą już do rzadkości...), ryż, bób i cebulę. Za to niezwykle właściwości quinoa odkryli Japończycy, którzy wolą dawać swoim dzieciom właśnie quinoa zamiast mleka...

Kiedy się idzie przez wzgórza z don Eusebio (indiański yatiri, czyli szaman, "opieka lekarska" naszego projektu), to dochodzi się do wniosku, że co druga roślina jest lecznicza bądź trująca. Ale przejdźcie się po polskiej łące z kimś znającym się na ziołach i wyjdzie na to samo. Poza tym ciągle chodzi mi po głowie pytanie, czy rośliny lecznicze tam mają te same właściwości w innych strefach klimatycznych... Roślinką, której dobroczynne działanie poznałam na własnej skórze jest coa, tamtejsza odmiana mięty. Przy przeziębieniach herbatka z coa faktycznie stawia na nogi. Przy problemach żołądkowych don Eusebio aplikuje herbatkę z czegoś, co się nazywa gasburo czy burogas, "burro" to po hiszpańsku osioł, więc wychodzi na to, że są to "ośle gazy", i szczerze mówiąc, właśnie tak to smakuje. Obrzydlistwo. Ale stawia na nogi jeszcze szybciej niż coa. Od razu człowiek czuje się zdrowy, kiedy pomyśli, że w przeciwnym razie musiałby to wypić jeszcze raz...

Ciekawostką przyrodniczą jest tuna - rodzaj kaktusa o przepysznych, słodkich owocach. Dowcip polega na tym, że aby zasadzić tunę, nie można tak po prostu wsadzić nasionka w ziemię - nie urośnie. Trzeba zjeść owoc (je się razem z pestkami), a potem w miejscu, gdzie chce się mieć kaktus, zrobić... no wiecie co. Substancje pobudzające nasionko do rozwoju znajdują się tylko gdzieś w przewodzie pokarmowym...

* * *

Boliwijczycy mają wyjątkowo beztróskie podejście do otaczającej ich przyrody. O czymś takim, jak utylizacja śmieci nigdy nie słyszeli. Słowa "wysypisko śmieci" również nie mają w swoim słowniku. Śmieci wyrzuca się po prostu tak, na ulicę, potem przyjeżdża śmieciarka, śmieciarze zbierają wszystko, wyjeżdżają za miasto i wyrzucają śmieci gdziekolwiek.

Sama Copacabana jest straszna - tamtejsze ulice to klęska (nazwijmy to: "drogi gruntowe nie zawsze utwardzane"), brud potworny, walące się domki z cegły adobe (nie wypalanej, suszonej na słońcu),

która spływa z każdym mocniejszym deszczem, kryte strzechą lub blachą falistą. Istnieje tam jedna ulica turystyczna, z mnóstwem pamiątek dla turystów, jedno muzeum (wywalczone przez archeologów z naszego projektu, wg prawa boliwijskiego wszystkie muzea mają być w La Paz, więc nie nazywa się to muzeum, tylko "jednostka archeologiczna"), trzy miejsca archeologiczne - pozostałości po Inkach i poza tym nie ma nic. Ach, są dwa banki, w których notorycznie nie ma... pieniędzy. Cały czas się wszyscy głowiliśmy, co może być w bankach innego oprócz pieniędzy, jak dotąd nikt nie wpadł na żadne rozsądne rozwiązanie. Do tego poczta, ogromny budynek policji (za pieniądze wyciągnięte od naiwnych Indian i turystów), kilka restauracji. I wielka katedra. Copacabana to spore centrum pielgrzymkowe, od pradawnych czasów: przed przybyciem Hiszpanów było to najświętsze miejsce w całym Imperium Inków. I tylko jedna rzecz jakoś tak dziwnie wygląda. Normalnie, przy wejściu do kościoła jest naczynie ze święconą wodą, prawda? Tam w Copacabanie księża się wycwanili. Naczynie, owszem, jest, ale zamknięte. Chcesz święconej wody? Wrzucasz monetę i dostajesz. Jeśli to nie jest nadużycie, to ja jestem Luter we własnej osobie.

* * *

Po tym, jak w jednym z moich e-maili do Polski entuzjastycznie oznajmiłam, że jestem już pół-Ajmara, zadano mi logiczne pytanie: a co to znaczy? No cóż, są strony jasne i ciemne. Więc być Ajmara znaczy mieć szacunek do wszystkiego, co żyje. Zwyczajem zamierającym, ale jeszcze niekiedy spotykanym jest robienie akuliku (wspólne żucie koki) ze zwierzęciem, które się ma zabić. Poza tym być Ajmara oznacza żyć we wspólnocie. Dziś ty jesteś w potrzebie, więc ci pomagam, odwzajemnisz mi się kiedyś w przyszłości. Dzieci wychowuje cała wspólnota, wszyscy w wiosce to wujkowie i ciocie. Nie istnieje instytucja domu starców, starsi to ludzie najbardziej szanowani, jak można wyrzucać ich na śmietnik? Z ciemnych stron najpoważniejszy jest problem alkoholu, pije się dużo, a niestety Indianie nie są odporni na alkohol. To znaczy, nie widziałam przypadków alkoholizmu, ludzi, którzy by chlali na umór tak często jak się da, ale podczas różnego rodzaju świąt, weselisk, chrzcin itd. pije się rzeczywiście bardzo dużo.

* * *

Nie dokończyliśmy naszych wykopalisk, przez ostatnie dni lało jak z cebra, tylko co jakiś czas były przerwy na grad i śnieg. Kiedy dokopaliśmy się do starożytnego grobu, do wyciągania kości potrzeba było sześciu osób: ja z Sergiem siedzieliśmy w wykopie i babraliśmy się w błocie, a cztery osoby trzymały nad nami plastik, chroniąc nas od gradu.

Nie było nawet czasu, żeby przykryć wykopaliska plastikiem i zakopać, żeby nic się nie zniszczyło do końca maja przyszłego roku. Będą to musieli zrobić nasi boliwijscy współpracownicy.

Czy muszę opisywać ostatnie dni w Copacabanie? Wystarczy powiedzieć, że rozkleiłam się totalnie i żaden klej pomóc mi nie był w stanie. Przez jedną trzecią drogi z Copacabany do La Paz ryczałam. Tak to jest, kiedy się opuszcza rodzinę na całe dziewięć miesięcy...

Stanisława Stachniewicz